Nr. 17. Lwów, 1. września 1902. Rok XXV.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Epidemia wścieklizny u lisa i borsuka,

występująca w Galicyi w latach 1900 i 1901.

Napisał Dr. Tadeusz Gabryszewski.

—

(Ciąg dalszy).

Co do wyglądu cielesnego zwierząt, chorobą dotkniętych, to był on bardzo różnym. Jedne lisy były wychudzone, nędzne, poschłe, jak trzaski, zszerszeniałe, z ranami świeżemi na ciele, lub bliznami po nich, inne przeciwnie odżywione doskonale, wyglądem swym nie zdradzające wcale objawów strasznej choroby, która w nich nurtowała.

Przypadek klasyczny, tj. 32 był właśnie, a raczej dlatego właśnie takim. Dotyczy on lisa naprzód zupełnie zdrowego, mimo, że wścieklizna została u niego ponad wszelką wątpliwość wykazaną. Jestto moment bardzo ważny i podnoszę go tu z n a c i s k i e m. Musimy sobie dobrze zapamiętać, że zwierzę wyglądające pod względem fizycznym na zupełnie zdrowe, mimo to może nosić w sobie zaród choroby, a tem samem i możność udzielania jej drugim.

Takie zwierzęta są właśnie najniebezpieczniejsze, one też mogą najłatwiej szerzyć zarazę w ogóle, a szczególnie w czasie i po przebyciu cieczki, jak to wyżej przyjąłem.

Dalej zaakcentować muszę, że podczas gdy blisko przez sześć tygodni wścieklizna już między zwierzętami leśnemi panowała, ani jeden pies w powiecie nie był nią jeszcze dotknięty, bo pierwszy wypadek chorego na wściekliznę lisa obserwowany przez leśnego Sokoła w Suchodole, miał miejsce w początku marca 1900, podczas gdy pierwszego psa chorego na nią w powiecie zabito dopiero 14-go kwietnia w Bryńcach, wsi bezpośrednio ze Suchodołem graniczącej. Również między następnymi przypadkami wścieklizny u zwierząt dzikich

a u psów nie da się wprowadzić pewny i stały związek przyczynowy. Choroba u zwierząt leśnych idzie jak lawina, ustawicznie naprzód i naprzód, nie przerzuca się wpadająco w oczy z miejsca na miejsce, ale statecznie ogarnia coraz szerszy zakres. U zwierząt domowych przeciwnie to tu, to owdzie, nieraz w znacznej odległości pojawia się jeden lub najwyżej dwa wypadki i znowu sprawa przygasa.

Jeżeli teraz rozglądniemy się w terenie przez epizoozyę ogarniętym, to zobaczymy, że miejscowość Suchodół jest punktem wyjścia całej sprawy i przez pierwszy okres tejże środowiskiem, dokoła którego ona się dalej szerzy. Ponieważ lasy rewiru suchodolskiego należą do wzorowo prowadzonego gospodarstwa leśnego hr. Romana Potockiego — straż lasowa bardzo wcześnie zauważyła niezwykłe zachowanie się lisów, a leśniczy p. Rudolf Kesselring, zamiłowany i myślący przyrodnik, odrazu zwrócił na nie uwagę i rozpoczął obserwacyę. Materyału znowu do robienia spostrzeżeń nie brakło, bo okolica ta cała o ogromnych lasach, jarach i gąszczach była zawsze ukochanem siedliskiem lisiego rodu, terenem, na którym rokrocznie kilkadziesiąt lisów ginęło od broni palnej, paści, trucizny. A tego roku zmieniły one swą naturę. Mimo, że była to pora podwiosenna, mimo, że w polu i w lesie było pożywienia w bród, lisy poczęły zbliżać się do wsi, podchodzić pod chaty, wpadać na obejścia, rzucać się na psy łańcuchowe i kąsać je, atakować ludzi, wreszcie tu i owdzie znajdowano je nieżywe. Między lisami znajdowały się osobniki dobrze zachowane i odżywione, jak i marne, poschłe, szerszeniowate, wyniszczone do ostatecznych granic. Niedługo, bo w parę tygodni później, zaczęły i lisy w najbliższem sąsiedztwie Suchodołu okazywać podobne, niewytłómaczone na razie objawy.

Powtarzało się to kolejno w Hlebowicach, Tołszczowie, Burkowie, Staremsiole, wreszcie i okolicach dalszych. W końcu roku 1900 choroba panowała już na przestrzeni kilka mil kwad.

Jak przy każdej niezwykłej sprawie, tak i tu z początku nie umiano zdać sobie sprawy, z czem się ma właściwie do czynienia. Ogólny głos wskazywał na sztucznie szczepiony tyfus u myszy, jako przyczynę choroby lisów. Było to w roku, gdzie z powodu ogromnego wzmożenia się myszy, stosowano na nie różne trucizny, a to strychniną zatrutą pszenicę i szczepienie między nie prątku tyfusowego Löfflera. Że zaś lis żywi się z chęcią myszami, a miał ich tego roku podostatkiem, więc sądzono, że wraz z myszami spożywając truciznę i on się nią zaraża, a potem od niej ginie. Przypuszczano to tem pewniej, że właśnie w r. 1900 zarazek ten tyfusowy gminom do tępienia myszy rozdawano. P. Kesselringowi nie trafiło to do przekonania — nie zgadzało mu się ze sobą zachowanie się bezczelne lisów z objawami zatrucia tyfusem, czy strychniną. Zresztą zarazek gminy otrzymywały w lecie, a choroba w Suchodole jeszcze z wiosną się pokazała. Dlatego odsyła lisa z przyp. 14 do akademii weterynarskiej, w celu ostatecznego upewnienia się, czy podejrzenie, że ma się do czynienia z wścieklizną, jest słuszne. Dowodu bezwzględnego, jakiego dziś dostarczyć można, a jaki jedynie jest niezbitym pewnikiem tj. wywołanie wścieklizny u zwierząt doświadczalnych za pomocą szczepień, w wypadku tym nie można było dać, gdyż narząd mózgo — rdzeniowy, z którego szczepienia się robi, uległ już zgniliznie.

W każdym razie prof. Szpilman, na mocy wyniku sekcyjnego orzeka, że z wszelkiem prawdopodobieństwem mamy do czynienia z wścieklizną.

Byliśmy już na tropie prawdy, a nie mieliśmy jej jeszcze.

Ale już z początku października sąsiad p. Kesselringa, p. Stanisław Kowalski z Tołszczowa, wysyła preparat (z przyp. 32.), który do wykonania szczepień rozpoznawczych użytym być już może i wykazuje wściekliznę, nie ulegającą wątpliwości. Zagadka została rozwiązaną.

Wścieklizna szerzy się szybko, w przeciągu dziesięciu miesięcy, tj. od marca po koniec roku 1900 ogarnia np. miejscowości: 1. Suchodół, 2. Hutę suchodolską, 3. Hulisko, 4. Hlebowice, 5. Łopusznę, 6. Burków, 7, Tarasów, 8. Tołszczów, 9. Staresioło, 10. Podmonasterz, 11. Bryńce cerkiewne, 12. Borusów, 13. Wybranówkę, 14. Szołomyję, 15. Stoki, 16. Lubeszkę, 17. Trybuchowce, 18. Romanów, 19. Podhorodyszcze powiatu bóbreckiego i 20. Świrz powiatu przemyślańskiego.

Rok 1901 wykazuje pojawienie się jej obok nowych miejscowości powiatu bóbreckiego: Łanek, Sarnik, Strzałek, Łanów, w powiecie lwowskim: Pikułowice, gródeckim: Starzyska, złoczowskim: Ścianka, Gołogóry, przemyślańskim: Stanimirz. Dalej nie poszła; przynajmniej nie mogę jej wykazać.

W miejscowościach, przez które przeleciała — nowych wypadków nie stwierdzono. Tylko w Stokach i Staremsiole były sporadyczne wypadki. Ten brak nawrotów tłómaczę przedewszystkiem tem, że na wściekliznę wszystko, co było, zginęło. Mam na to dowód w zimie roku 1901 i 1902, gdzie ponowy gdzieniegdzie nie odkrywają ani jednego lisa w lesie.

I tak, kiedy w samym rewirze suchodolskim po ponowie otrapiano corocznie kilkadziesiąt lisów, tego roku zaledwo kilka wykazano; kiedy przedtem bito na polowaniach i zasiadkach po 30 i 40 lisów, w tym roku ani jednego nie zabito. Nie padł też ani jeden lis na polowaniu w Hlebowicach, ani jeden w Podmonasterzu, ani jeden we Wybranówce. Matka przyroda wygoliła ich tak do czysta, że nic z jej brzytwą porównać się nie jest w stanie.

Wiem, że za czas niedługi, wyrówna się znowu ich liczba, ale i to pewna, że tu, czego nie dokazała przez lata całe wytępiająca je siła człowieka w postaci broni, trucizny, paści, odkopywania, psów, to przyroda zrobiła w przeciągu roku jednego. Ale i to dobre, choć niestety krótkotrwałe. Wszyscy, którzy patrzą na to codziennie fachowemi oczami, jednozgodnie twierdzą, że ilość drobnej zwierzyny i ptactwa niepomiernie się podniosła. P. Kesselring wyraźnie zaznacza, że kiedy poprzednio, nigdy nie widział kuropatwy na zarządzanem przez siebie obszarze, obecnie po dwóch latach zagłady lisiej, jest już kilka stadek.

P. Adam Madeyski, któremu za chętne informacye i trudy serdecznie na tem miejscu dziekuję, pisząc w jeseni roku 1901 o stanie zwierzyny w lesie i lisów tam będących, pisze, iż zwykle w ciągu lata pada w jego rewirze conajmniej 10 lisów, a w tym roku zaledwo dwa i to w polach, wśród lasu nawet nie widziano żadnego. Również i nie wywiodły się lisy tego roku,

gdyż jamy ich zna się dokładnie. Dopiero po żniwach nadciągnęło ich moc do lasu, ale w stosunku do lat innych bardzo mało. Że lisów w lesie w ciągu wiosny i lata nie było, dowodem i to, że mamy w tym roku niezwykłą ilość kuropatw, nawet po zrębach leśnych, gdzie ich dawniej nigdy nie widywano, wreszcie kilka słonek, strzelonych na wieczornym ciągu znajdywano dopiero 2-go i 3-go dnia, co dawniej, gdy lisy nocą las przeszukiwały, było prawie niepodobieństwem.

W grudniu 1901 na pierwszej ponowie tropiono wprawdzie w każdym oddziale lisa, ale w bardzo małej ilości w porównaniu z rokiem zeszłym. Kości zakładanych na żerowiskach, lisy prawie nie ruszały. W ciągu polowań zimowych padła zaledwie $^1/_6$ część tej ilości lisów, jak zwykle, od lat dziesięciu, gdy p. Madeyski rewirem tym zarządza. Ubite lisy miały futro zwyczajne, były jednak chude, pomimo znacznej w tym roku ilości myszy, lekkiej zimy i dostatku żeru, tak żywego jak martwego. Wyginione sporadycznie sarny znajdowano tej zimy zupełnie przez lisy nietknięte, niektóre zaledwo przez ptaki podzióbane, co po inne lata do nadzwyczajnych rzadkości należało.

Rezultatem tak małego stanu lisów, jest prawdopodobnie — pisze dalej p. A. Madeyski w marcu 1902 — i niezwykłe rozmnożenie się kuropatw i to w lasach młodnikach, zapustach, czego nigdy nie bywało. Ilość zajęcy również jest większa — ale to nie jest tak w oczy bijące.

Tak więc zrobiliśmy to „doświadczenie przyrodnicze“, doświadczenie na wielką skalę, którego żadną miarą człowiekowi powtórzyć się nie da i chyba po latach wielu i wśród dziwnie szczęśliwego zbiegu okoliczności, może ktoś gdzieś obserwować jeszcze będzie.

Ze stanowiska łowieckiego, tylko cieszyć się można, że ten z najchytrzejszych mistrzów mistrz, przynajmniej na czas krótki usuwa się z widowni — opisywanej okolicy.

Przeglądnąć wypada z kolei jakość zwierząt, które stanowiły przedmiot obserwacyi.

Przeważająca liczebnie ilość zwierząt chorobą dotkniętych są lisy, bo 81, znacznie skromniejsza ilość psów 17, borsuków 12, dalej 2 koty, wieprz, cielę, krów kilka, wreszcie przypadki pokąsanych ludzi, których jest razem 12.

W ogóle zwraca uwagę n i e z n a c z n y tylko procent powstania choroby u zwierząt pokąsanych. Co do ludzi, to wszyscy oni, z wyjątkiem jednego, przebyli leczenie w Zakładzie prof. Bujwida i tylko ten jeden zapadł i uległ wodowstrętowi.

Że borsuków znacznie mniej obserwowano wściekłych, to tłumaczę z jednej strony tem, że borsuk w ogóle pojawia się u nas bez porównania mniej licznie od lisa, a powtóre jako zwierzę nocne, prowadzące życie pustelnicze, żyjące więcej pod ziemią, w razie ulegnięcia chorobie, z jamy się nie rusza i w niej ginie. Borsuki chore, widziane i zabite, są zdaje mi się tylko wyjątkowem zjawiskiem. Szkoda, że nie można było zrobić odkopywania jam — wtedy możeby się zagadka dała rozwiązać.

O jedno chodziłoby nam tylko jeszcze, tj. o punkt wyjścia całej sprawy. Ponieważ do rzędu baśni zaliczamy już dziś przyczyny, jakie do niedawna za jej powód trzymano, a i dziś niejedni jeszcze trzymają, jako to brak wody, niezaspokojony popęd płciowy, zbyt upalne lata lub przemożnie mroźna zima, pożeranie padliny, dłuższy czas gnijącej i inne tego rodzaju rzeczy mniej lub więcej fantastyczne — a uważamy za rzecz konieczną przeniesienia jadu swoistego — szłoby więc tylko o to, jaką drogą jad ten się przenosi.

Aby jednak już raz na zawsze bajeczne opowiadania o wodowstręcie zwierząt i ludzi — p o c h o w a ć, (historye, które bardzo często i w „*Łowcu*“ są wzmiankowane) — zaprzeczam stanowczo, aby gdziekolwiek i kiedykolwiek wywołać zdołano prawdziwą wściekliznę w zwierzęciu przez powyżej podane sposoby.

Jeżeli w wolnej od wodowstrętu okolicy nagle on się pojawił, to dokładne, ścisłe śledzenie za początkiem, musiało przekonać, że przeniesiony on został przez ukąszenie zwierząt wściekłych. Także musi się zaprzeczyć możności zakażenia się zarazkami, które dłuższy czas były w ziemi lub na przedmiotach, gdyż powietrze i światło niszczą bardzo prędko jad wścieklizny, a gnicie osłabia go już po paru tygodniach.

Jeżeli zatem za bezwzględną konieczność musimy przyjąć przeniesienie jadu wścieklizny, to i tak pozostaną bardzo zresztą wyjątkowe wypadki, gdzie tego przeniesienia wykazać nie zdołamy. Zdarzy się to czasem, przynajmniej wiarogodni ludzie twierdzą, że piesek, który pokoju miał nie opuszczać, absolutnie nie stykał się z innemi zwierzętami — mimo to miał zapadać na wodostręt i ulegać mu. Jeżeli tak było, jeżeli możemy wykluczyć bezwarunkowo możność zetknięcia się takiego psa z innymi, jeżeli choroba, której uległ była rzeczywiście wścieklizną (doświadczalnie stwierdzoną) to wtedy przypuścić chyba możemy, że jad przeniosła — mucha.

Mucha, która przedtem siedziała na ranie, lub zbierała ślinę psa chorego. Jeżeli pchły mają być przenosicielkami dżumy, to może i mucha mogłaby przenieść jad wodowstrętu. Otwarte przypuszczenie.

Obecnie mamy zastanowić się, jaką drogą tutaj jad się przenosił. Jak już w pierwszym artykule, w tej sprawie pisanym zaznaczyłem, bezpośrednia droga zakażenia lisa przez psa nie trafia mi do przekonania. Byłaby ona możliwą w pierwszych stadyach choroby, gdy pies jest już wścieklizną dotknięty, ale objawy jeszcze nie wystąpiły, tylko nie tak to łatwo „przechytrego mykity“ dopaść.

Choćby nawet przypuścić, że w ostre bardzo zimy lisy razem z psami żerują na przynęcie, dla nich stawianej, to jednak lis zbyt jest ostrożnym i psa za swego najśmiertelniejszego wroga uważa, by nie trzymał się odeń w należytej odległości. Zresztą przypadki pierwsze pojawiły się już z początkiem wiosny, kiedy ta srogość klimatu, a zatem i brak pożywienia nie jest już takim, by wrogie sobie, choć pobratymcze rody lisa i psa zjawiały się do wspólnego żerowiska.

Mnie się zdaje, że zakażenie odbywało się tu za pomocą łącznika, którym był borsuk. Przypuszczam, że dotknięty chorobą pies łatwiej mógł dopaść powolnego, ospałego borsuka, niż lotnego jak wiatr lisa i pokaleczyć go. Stało to możliwie w początkach marca, gdy borsuk już siedzibę zimową opuszczać zaczął. W dalszym ciągu borsuk już bardzo łatwo mógł przenieśó wściekliznę na lisa. Między dwoma temi zwierzętami panuje bowiem przyjaźń ścisła, bo oparta na wspólnem

interesie. Borsuk nie broni lisowi mieszkać we wspólnej z nim jamie, pozwala mu żyć obok siebie, za to żywi się resztkami przyniesionych przez niego łupów. Kiedy już ukąszony przez psa borsuk zapadł na wściekliznę, występującą u niego zawsze, jak widzieliśmy pod postacią szaloną, cechującą się popędem do gryzienia, pokaleczył najserdeczniejszego mu dotąd druha, lisa. W dalszym ciągu sprawa postępowała już pewnie i szybko. Lis chory nie omieszkał obdzielić członków swej rodziny tą samą chorobą, która też już szybko posuwała się dalej i zaczęła ich szeregi przerzedzać gwałtownie. Dlaczego atoli rok 1900 i 1901 zaznaczył się taką ilością wypadków, że już epidemią w całem słowa znaczeniu nazwać to musimy, dlaczego miecz zagłady tak bezwględnie zaczął tępić to najchytrzejsze ze zwierząt Europy — tego odkryć nie zdołałem. Widocznie wystąpiły jako specyalne, dla rozwoju wścieklizny korzystne, a nie dające się wykryć warunki. Bo dawniej było bezwątpienia więcej wścieklizny między psami, niż dzisiaj, a mimo to, lisy nie zarażały się od nich — wchodzi więc w grę jakieś „*agens-ignotum*“ epidemii sprzyjające.

Nie mogę pominąć milczeniem, że zarówno ustawodawstwo, jak i jego organa wykonawcze wykazują pod wielu względami braki i usterki, co w czasie obecnej epidemii się uwydatniło. Biorę rzecz, kiedy epidemia jest już w całej pełni, i dotycząca władza t. j. starostwo wie o niej. Weterynarz powiatowy ją stwierdził i zarządził ustawą objęte, najostrzejsze środki do jej stłumienia służące, a więc:

1. Wydano polecenie do wójtów wsi zarazą dotkniętych, by psy podejrzane były doraźnie ubite.

2. Wszystkie psy zdrowe, trzymane przez trzy miesiące na uwięzi.

3. Wszystkie miejscowości o promieniu 4 kilom. mają mieć również psy zabezpieczone, a więc uwiązane.

4. Żandarmerya otrzymała rozkaz doglądania, czy się to dzieje.

5. Sądy zawiadomione o poleceniu, a w razie danym o nieprzestrzeganiu przepisów.

6. Ludzie pokąsani odesłani do leczenia w Krakowie.

7. Zarządzone być mają obławy na wielką skalę.

Przypatrzmy się teraz, jak to w praktyce wygląda.

Co do 1-go, tj. że psy podejrzane, lub chore mają być ubite, ale sposób w jaki mają śmierć ponieść, zostawiony jest zdolności i sprytowi naczelnika gminy. Rakarza się nie sprowadza, bo na to gmina funduszów nie ma, że zaś pies lub inne zwierzę wściekłe nie zawsze czeka, aż go przeznaczony do tego urzędowy zabijacz uśmierci, więc pozostaje jedynie broń palna. W mieście, mającem policyanta, on odbywa tę czynność najczęściej pożyczaną strzelbą i wyproszonymi nabojami, czego skutkiem bywa to, że do dużego psa strzela się drobnym proszkiem, poczem zwierzę postrzelone i podrażnione więcej szkody zrobi, niż przedtem. Na wsi o ten wypadek nie trudno, że poprostu żandarm temu urzędowemu strzelcowi strzelbę odbierze, ale jeszcze na domiar spowoduje ukaranie go grzywną, za brak dokumentów pozwalających na noszenie broni.

Takie są konsekwencye.

Co do 2-go, to trzymania psów na uwięzi częściowo się przestrzegają, ale nie zupełnie, bo żandarmerya mając mnóstwo innych, ważniejszych rzeczy na głowie, nie może na to zwracać należytej uwagi, a nie ma ludzi li tylko na to przeznaczonych.

Co do 3-go, to wyznaczony ustawą promień 4 klm. dla wiązania psów, jest stanowczo za mały, bo, jak doświadczenie uczy, pies chory milami nieraz idzie, zanim go gdzieś zabić zdołają.

4. Doświadczenia robione bywają przez żandarmeryę zapóźno, a szybkość jest bardzo ważnym momentem, gdyż rozpoznanie na zwłokach rozkładających się jest bardzo niepewnem, często wprost niemożebnem.

5. Sądy karzące przekroczenia za nieupięte psy wydają kary tak niskie, że one zupełnie nie robią na karanych wrażenia i skutku nie odnoszą. Bo każdy przyzna, że tą jedną korona, którą chłop płaci — żadnej nauki nie odniesie.

6. Odesłanie pokąsanych do szczepień, jest zupełnie niedostatecznie zarządzone. Bo nim starostwo zostanie zawiadomione, weterynarz 2-go i 3-go dnia sprawdzi — decyzyi nie ma, odsyła się głowę do szczepień rozpoznawczych, chłop zacznie chodzić od starostwa do księdza, nim dostanie świadectwo ubóstwa przez gminę i księdza wystawione, a przez starostwo potwierdzone, upłynie nieraz tyle czasu, że szczepienie odbędzie się za późno.

A tutaj pospiech większą niż gdziekolwiek odgrywa rolę.

7. Co do obław, to istnieją one na papierze — a w Austryi dotąd jeszcze ani razu nie były zastosowane, bo nie wiadomo kto ma koszta ponosić, rząd nie, gminy nie, a sama obława się nie zrobi.

Przeglądając literaturę, spotykam wzmianki o wściekliźnie wśród lisów, opisywanej przez Nordenskiölda i Nansena, między lisami polarnymi, ale wzmianki zbyt pobieżne. Dr. Teodor Hartig nadmienia nieco dokładniej o podobnej do naszej epidemii. Miała ona występować przez lata całe w okolicach jeziora Bodeńskiego i wiele lisów miało ją wtedy. Podaje fakt i przezemnie obecnie potwierdzony, że tylko niektóre z pokąsanych przez lisy zwierząt ulegają wściekliźnie. Ale i on bliższych szczegółów nie podaje. Nadmienia tylko, że pokąsane zwierzęta, które uległy zakażeniu, wściekały się nie po dniach dziewięciu, jak ogólnie stwierdzono, ale po 28 dniach po ukąszeniu. Tak samo mówi Christof Liebich w dziele pt. „*Jagdkunde*“. Ja terminu takiego podać nie mogę, znam bowiem wypadki, gdzie choroba zwierzęcia pokąsanego rozwinęła się znacznie później.

Epidemia taka, jaką tu opisałem, nie była opisana dotąd nigdzie, jest ona u n i k a t e m nieznanym dotąd, tak dziełom przyrodniczym, jakoteż specyalnie prowadzonym biuletynom Pasteurowskim.



Aklimatyzowane zwierzęta łowne.

Napisał St. M.

Ciąg dalszy.

W ogłoszeniach tych, pisze dalej p. Leroy, uderza w oczy przedewszystkiem ta okoliczność, że rodziny, czy to bażantów, czy kuropatw składają się zawsze z jednej i tej samej liczby piskląt — a więc bażancicę oddają zawsze z 12 pisklętami, parę kuropatw zawsze z 18 pisklętami — nigdy inaczej. Czyż więc właściciel bażantarni Meriel wynalazł sposób regulowania płodności swoich pensyonaryuszów? Przez użycie jakich środków tajemniczych mógł Galichet doprowadzić do tego, że może ofiarować gniazda bażancie i kuropatwie według pewnej miary, tak jak np. płótno na metry lub cukier na kilogramy. Odpowiedź na to daje opis całego urządzenia bażantarni, który powtarzamy za p. Leroy.

Bażantarnia, a właściwie cały zakład, urządzony jest na piaszczystej pochyłości pagórka i oparty jest o lasek, którego część przed częściowem wykarczowaniem stanowił. Zajmuje on 20 hektarów powierzchni, otoczonej żelazną siatką o dwóch metrach wysokości. Ze swojemi uliczkami i skwerami, placami i bulwarami, wygląda cały zakład jak miasteczko *sui generis*, zamieszkałe jednak przez zwierzynę, a więc przez zające, dzikie króliki, bażanty, kuropatwy, kusaki (tinamous) — i stanowi zupełnie oryginalny widok, niepodobny do żadnej znanej bażantarni i do żadnego ogrodu zoologicznego. Całość zachowała do pewnego stopnia charakter lasu — znajdują się więc w całym zakładzie, we wszystkich klatkach, gęste klomby krzaków dębowych, rozmaitych krzewów, paproci, dzikiej winnej latorośli, mchów, wszystko na tle zielonych gazonów trawy. Place publiczne stanowią większe przestrzenie zasiane rozmaitymi gatunkami zbóż, a więc owsem, żytem, pszenicą, hreczką, tak że dają one żyjącej tu zwierzynie schronienie i iluzyę życia na wolności. Wielkie kwadratowe przestrzenie, umieszczone ekscentrycznie, połączone ze sobą przejściami, przy siatce obwodowej się znajdującemi, są przeznaczone dla zajęcy. Zając, który ruszony został w swojej przegrodzie, albo nabrał ochoty użycia ruchu, wymyka się tym otworem ze swojej przegrody, przebiega do drugiej, stamtąd do trzeciej i tak dalej, póki nie wróci do swojej przegrody, skąd na nowo może rozpocząć wędrówkę. W ten sposób może przebiegnąć parę kilometrów, co oczywiście pozwala mu zapomnieć po części, że się znajduje w niewoli. Zajęczyce w czasie kocenia się, mają do dyspozycyi naturalne schroniska, w których umieją się ukryć przed natarczywością gachów. W tych warunkach, odtworzonych wprost z natury, zające prosperują i mnożą się tak, jakby były na wolności. Instalacya królików, rodzaju zwierzyny, która jest najmniej ze wszystkich wymagająca, nie wymaga tylu względów — to też kilka setek tych płodnych zwierząt żyje razem w osobno urządzonym parku i mnożą się tam z zapałem, świadczącym, iż znany jest im znaczny popyt, jakimi się ten rodzaj zwierzyny, ze strony wszelkiego gatunku odbiorców, czworonożnych i dwunożnych cieszy.

Dzielnicę klasy roboczej stanowi kurnik, zamieszkały przez paręset kur karlich, którym powierza bażantarnia wylęganie jaj nadliczbowych, zebranych u klas arystokratycznych, a więc u bażantów, wszelkiego rodzaju kuropatw zwykłych i kamionek, kusaków i innych kuraków zbytkowych. Ten kurnik jednak nie jest w niczem podobny do kurników w innych bażantarniach urządzonych, nie ma tu murowanych budyneczków ozdobnych, nie ma koszów ani przegród do składania jaj — jest to najprymitywniejsza budka, zrobiona z nachylonych ku sobie patyków, nakrytych ziemią. Wylęgarnie, w liczbie 350, są także urządzone na wolnem powietrzu i w tych samych warunkach, jak poprzednio opisane budki. Zagłębienie zrobione w piasku i wyłożone garścią zgniecionej w rękach słomy, służy do wylęgania tak kuropatwom, jak i bażantom, w końcu kurom, które stanowią rezerwę. Ten system, odtworzony wprost z natury, daje, jak się wydaje, zupełną gwarancyę przeciw nadmiernej śmiertelności pośród piskląt. W jaki sposób ptaki te, a szczególniej ptaki egzotyczne, które przecie uchodzą za stworzenia o zdrowiu bardzo delikatnem, mogą w tych prymitywnych urządzeniach, dających im tak mało wygody, zdrowo wytrzymać, pozostaje zagadką. Faktem jest jednak, że zdrowie służy w tych warunkach i wylęgającym matkom i pisklętom znakomicie.

Najlepszym dowodem, że oprócz kuropatw i bażantów wychowuje bażantarnia Meriel rocznie około 300 kusaków, około stu bażantów indyjskich, pewną ilość bażantów mongolskich, bażantów różnokolorowych, złotych, bażantów Lady d' Amherst, (o których pisaliśmy już w „*Łowcu*") bażantów Swinhoés, (tz. Petrosas) i innej zwierzyny, służącej do studyów. Wszystkie te ptaki są w doskonałem zdrowiu — wszystko to jest żwawe i wesołe, pióra błyszczą się na nich, skrzydła nie opuszczone, jak w innych bażantarniach, cały wygląd świadczy jednem słowem o najlepszej kondycyi. Bażanty zbytkowe nie mają innego schronienia, jak najprymitywniejsze budki z gałęzi, wysokie na półtora metra, których używają w ten sposób, że najczęściej na nich, a nie w nich siedzą — bażanty zwykłe mają tylko za schronienie krzaki i klomby krzewów, kuropatwy mieszkają na wolnem powietrzu — w zagrodach, których siatki obstawione są od dołu deskami w tym celu, żeby mieszkańcy jednej klatki nie widzieli mieszkańców innej, żeby więc nie było sposobności do walki, do paniki i innych dystrakcyi, któreby przeszkadzały prawidłowemu rozmnażaniu się. W tych zatem warunkach wychowańcy p. Galicheta, są zwierzyną zupełnie dziką, wystawioną na wszelkie zmiany powietrza, deszcz, grad, wiatr, śnieg, podobnie jak ich wolno żyjąca brać. Zastosowanie proszków, zawierających azot i fosfaty, które miesza Galichet do jadła ptaków, nie czyniąc zresztą z tego żadnej tajemnicy, jest prawdopodobnie najlepszem wytłómaczeniem dobrego zdrowia ptactwa.

Kuropatwy i bażanty, przeznaczone do rozpłodu, są pomieszczone w przedziałach, o obszarze dla pary kuropatw stu dwudziestu pięciu metrów kwadratowych, dla koguta i pięciu kur bażancich trzystu metrów. W jesieni i w zimie zamykają bażanty i kuropatwy w wielkich ogrodzeniach osobno koguty, osobno kury. Pokarm dorosłych bażantów i kuropatw stanowi mieszanina zboża i hreczki, umieszczonej pod rodzajem daszków,

woda i jarmuż, który ptactwu w zimie nadzwyczajnie smakuje i doskonale służy. Służbę pełni oddział złożony z ośmiu strażników, których liczbę w razie potrzeby podwójnie powiększają. Strażnicy ci mieszkają w rozrzuconych po całym zakładzie budkach, połączonych drutami telefonicznymi między sobą i z głównym budynkiem. Strażnicy spędzają noc po dwóch w jednej budce, aby sobie mogli udzielać nawzajem pomocy. Ażeby utrzymać na przestrzeni 20 hektarów taką ilość zwierzyny lotnej, liczącą kilka tysięcy egzemplarzy, używa Galichet specyalnych pęt, które odejmują ptactwu możność ucieczki, a w niczem go nie żenują. Ptak zachowuje możność swobodnego biegania, parzenia się, gnieżdżenia, składania jaj, wysiadywania ich, opieki nad pisklętami — nie może tylko poderwać się do lotu. Jak te pęta wyglądają, nie opisuje p. Leroy, owszem wyraża się o nich dosyć tajemniczo, nazywając je „kluczem sklepiennym“ całego systemu Galicheta. Musi to być zatem pewien rodzaj sekretu tej bażantarni. Przypuszczamy, że muszą to być pęta podobne, jakich używają gołębnicy do wiązania skrzydeł świeżo nabytych, jeszcze do gołębnika nie przyzwyczajonych gołębi. Mianowicie wiąże się szarą nicią najdłuższą lotkę mniejwięcej w trzeciej części jej długości od końca — i to tak mocno, żeby jej nie zgnieść i nie przełamać, a przecież dostatecznie silnie, żeby węzełka tego ptak, czyszcząc sobie lotki, nie mógł dzióbem zesunąć. Dalszą częścią nitki, która powinna być na tyle długa, żeby nią wygodnie kilka lotek można było związać, wiąże się drugą lotkę, w ten jednak sposób, żeby lotki trochę rozchylać się dały. Czynność tę załatwiać muszą dwie osoby — jedna trzyma ptaka jedną ręką w ten sposób, że nogi obydwie znajdują się między palcem trzecim a czwartym ręki, na której właściwie ptak niejako siedzi — drugą ręką zaś uchyla się skrzydło, tak, żeby lotki trochę były rozchylone. Po związaniu lotek jednego skrzydła, wiąże się świeżą nitką skrzydło drugie. W ten sposób ptak podlecieć nie może — może jednak podskoczyć z pomocą skrzydeł dosyć wysoko, może stosunkowo wygodnie czyścić pierze, może pod skrzydłami trzymać pisklęta itp. W niektórych bażantarniach odcinają w połowie lotki przy jednem lub obu skrzydłach — w ten sposób ptak także jest uwięziony aż do czasu, gdy mu lotki odrosną, co się stanie oczywiście dopiero w peryodzie pierzenia się. W ogrodach zoologicznych, gdzie zależy na tem, żeby ptak wyglądał nienaruszony, a przecie podlecieć nie mógł, dochodzą do tego samego rezultatu przez podcięcie odpowiednich ścięgien, co jednak niekiedy sprowadza opuszczenie skrzydeł przez ptaka, który w takim razie wygląda zawsze niezdrowo i nienaturalnie.

Wracamy do dalszego opowiadania p. Leroy. Zasada głoszona w Meriel, a mianowicie zasada kolonizacyi jakiegoś wyniszczonego terenu drogą naturalną z pomocą zwierzyny dzikiej, polega w praktyce na zużytkowaniu instynktów rodzinnych, owej gorączki rodzicielskiej, tak silnej u kuraków, że dla ocalenia swojej progenitury zdolne są one do heroicznych poświęceń, do poddania się wszystkiemu, do zupełnej abnegacyi, do ofiary z życia i wolności, byle tylko nie opuścić piskląt, których wabienie stanowi dla nich nieprzeparty magnes.

Z nadejściem wiosny zajmuje się bażantarnia umieszczeniem reproduktorów w osobnych klatkach, celem umożliwienia im spełnienia swojego zadania. Epoka ta zaczyna się dla bażantów z początkiem marca, dla kuropatw znacznie wcześniej, bo już z początkiem lutego i to tak dla kuropatw czerwonych, jak i szarych. Co się tyczy tych ostatnich kuropatw, to dzielenie ich na pary odbywa się z niesłychanemi ceremoniami, które są analogiczne do starania się, zaręczyn i małżeństwa. Zachodzi tu jednak ta różnica w stosunku do zwyczajów pewnego dwunożnego stworzenia, w którego wyłącznem posiadaniu ma być rozum, że małżeństwa między kuropatwami zawierane, polegają zawsze na prawdziwej inklinacyi. Wszelkie inne względy nie mają u tego kuraka żadnego znaczenia. Sprawa ta ma w Meriel następujący przebieg: Już w pierwszych dniach lutego, niekiedy nawet wcześniej, w miarę temperatury, (nie zapominajmy, że dzieje się to w klimacie łagodniejszym od naszego) umieszczają kurki kuropatwie każdą w osobnem ogrodzeniu. Tutaj zaczynają one wabić. Kogutki zamknięte osobno w jednem ogrodzeniu odpowiadają na cały głos. Po kilku dniach tych gruchań na odległość, wypuszczają wszystkie koguty na drożynę, która dotyka wszystkich ogrodzeń, w których kurki są zamknięte. Ponieważ, jak wyżej powiedzieliśmy, ogrodzenia od dołu zastawione są na wysokość kilkunastu centymetrów deskami, które byłyby przeszkodą w porozumieniu się między stęsknionymi za miłością ptakami, usypuje się w każdem ogrodzeniu mały pagórek z ziemi, wznoszący się ponad deskę, i odpowiedni pagórek od strony owej drożyny. Po wypuszczeniu kogutów na drożynę, dzieją się rzeczy dziwne, w które nie będzie wierzył ten, kto tego nie widział własnemi oczyma. Żeby nabyć o tem pojęcia, należy sobie wyobrazić rozgrzebane mrowisko — ruch, jaki w niem powstaje, jest podobny do tego, jaki teraz daje się spostrzec na drożynie i w klatkach. Wierzchołek każdego pagórka zajmują rozgorączkowane koguciki, walczą, spychają się z niego, zepchnięte biegną, wabiąc ciągle, na inny pagórek, jednem słowem, zamieszanie nie do opisania. Kurka tymczasem siedzi na razie spokojnie, często w drugim końcu ogrodzenia -- nieczuła na hołdy, obojętna na wezwania miłosne, dopóty, dopóki nie pojawi się ów wyśniony kogucik-królewic, ów wybrany małżonek, dopóki nie posłyszy owego głosu serca, działającego jak uderzenie piorunu. Wtedy rzeczy przybierają inną postać. Kurka przybiega do wierzchołka pagórka — wyciąga dzióbek do ukochanego, co, u kuropatwy, znaczy oddanie swojej... łapki, i wtedy parka ta, przez kratkę siatki wymienia przysięgi i dziób w dziób, zahypnotyzowane, zachwycone trwają tak, nie spostrzegając, że strażnik, który gra tu rolę urzędnika stanu cywilnego, zbliża się nieznacznie i otwiera przegródkę, przez którą kogucik nagle znajduje się w klatce swojej bogdanki. Od tej chwili są już ptaszki pożenione i nie rozłączają się już. Małżeństwo jest uznane i nierozwiązalne. Pozostaje im tylko życzyć dużo potomstwa. To samo powtarza się przy każdym pagórku, przy każdym przedziale. Dla widzów uprzywilejowanych, których właściciel zakładu na to widowisko sprasza, jest to spektakl niezwykły. Bażanty rozdzielają w stosunku jednego koguta do czterech lub pięciu kur, ale już bez tych ceremonii, jak z kuropatwami. Każdy z przedziałów, oprócz numeru swojego, posiada tablicę, na której

zapisuje się rozmaite notatki, mające znaczenie dla przyszłości — np. dzień ułożenia gniazda, jego umieszczenie, złożenie pierwszego jaja, liczba ich i dokładna data rozpoczęcia wysiadywania. Te rozmaite daty zbierane są przez strażników, ze wszystkimi możliwymi względami dla spokoju mieszkańców przedziału, tembardziej nieufnych, że o zachowanie ich dzikiego charakteru zakład wszelkiemi siłami się stara.

(C. d. n.)



NA JEZIORZE.

Przez jasne nurty chyżo mknie,
Mknie moja łódź wesoła,
I lśniącą piersią lazur tnie,
I złote toczy koła!

I złote koła w srebrze tka,
I płoszy fal łabędzie,
Przy łodzi fala cicho łka,
I liże jej krawędzie!

W swym cieniu, gdzie sitowia las,
Słoneczne gasi ognie,
Tam lśni po wodzie złoty pas,
A łódź ma pas ten ciągnie!

A pies jak sternik śledzi toń,
Wiatr w długie uszy wieje,
W lipcowem słonku błyska broń,
I snopy iskier sieje!

Przejrzyste nurty chyżo tnie,
Tnie moja łódź wesoła,
Swobodna myśl, jak mewa mknie,
I złote toczy koła!

Albert Mniszek.



Polowanie na grubego zwierza w górach.

Przez A. hr. Sumińskiego.

Było to w marcu, błotko z deszczami zapowiadało wiosnę, ociepliło się znacznie, a choć ranne przymrozki nie pozwoliły jeszcze ziemi całkiem się roztopić, to jednak czuć było walkę natury, a słońce cieplejsze zdradzało, że jest w sojuszu z wiosną, że zwycięstwo jej pewne, a życie starej zimy na dni już tylko policzone. Z gór nadeszły wieści, że niedźwiedzie się ruszyły, a choć śniegu nie wiele, można jeszcze tropić, że dalej dzików dużo, a rysie się pokazują. Niedźwiedzica z piastunem, rysie i dziki, to magnes dla nas nielada, zapakowawszy więc manatki ruszyliśmy do tych kniei, najpiękniejszych w świecie.

Gdyśmy przyjechali na miejsce, złote plany i nadzieje rozwiały się w jednej chwili — odwilż kompletna i góry czarne. Ociepliło się zupełnie, tak, że śnieg stopniał a o tropieniu i mowy być nie może.

Czy znasz polowanie w naszych Karpatach, czytelniku miły? Nim dostaniesz się do kniei, dziesiąta godzina, nim nagonka się zejdzie, jedenasta, zanim jeden miot się skończy, trwa czasem dwie, trzy i cztery godziny, a nim się wydrapiesz na stanowisko, dobrze się zadyszysz i spocisz. Lecz cóż to wszystko znaczy, wobec możliwości spotkania z taką zwierzyną, jaka się tu rodzi! Często stojąc lub siedząc na lasce myśliwskiej, marząc o kudłatym niedźwiedziu, chytrym i podstępnym rysiu lub rycerskim odyńcu całemi godzinami, zobaczysz wiewiórkę, przeskakującą z gałęzi na gałąź, a kłęby zrzucanej okiści, wyglądają, jak tumany białego kurzu, lub czasem nic, nic i nic. Niekiedy rogacz wyskoczy na ciebie, którego parostki omszone podwójnie cię nęcą, raz, że większe się wydają, niż są w rzeczywistości, powtóre, że w tym czasie ochrony, staje on przed tobą na kilkanaście kroków, szeroko, jak tarcza, jakby na pohybel! Raz po raz jednak jeszcze ładniejszy masz widok, bo oto gałęzie trzaskają i stoi przed tobą kolos, szesnastak o wspaniałym wieńcu, na 20 kroków, za nim dwunastak słabszy, lecz o jednej już tylko tyce. Patrzą na ciebie tak spokojnie, tak wytrzymują, jakby wiedziały, że teraz nie czas, cicho w kniei, nie ma muzyki nad muzykami, która lecąc ze stoku na stok, odbija się tysiącznem echem od gór, a wtedy baczność, bo zdradziecka kula przerwie te gody na zawsze. Teraz spokój, zwróciwszy się więc w lewo majestatycznym ruchem, jelenie niedbałym truchtem odchodzą w las.

Przyjechawszy raz na miejsce postanowiliśmy przecie zapolować, a nie mogąc dostać żadnych wieści o niedźwiedziach, chcieliśmy szczęścia spróbować z dzikami, choć na ślepo. Przybywszy wozami na miejsce, tak daleko, jak się to dało, zaczęliśmy piąć się pod górę ku stanowiskom, nagonka zaś zachodziła z przeciwnej strony. Krok za krokiem, wpadając w roztopy po kostkę, to poślizgując się zdradziecko, wydrapaliśmy się na szczyt, gdzie nas rozstawiać poczęto. Zgrzany i zdyszany, każdy siedział na stanowisku już z dobrą godzinę, kiedy z daleka doszedł nas szmer biegnącego stadka dzików wprost ku linii myśliwych. Czy znasz to uczucie, bracie z pod sztandaru św. Huberta? Siedzisz zamyślony i czekasz, błogi jakiś spokój cię ogarnia, zapominasz o świecie, a złudne nadzieje malują ci w wyobraźni obrazki z najśmielszą fantazyą, w tem szmer budzi cię, przeszywa jak iskra elektryczna, oczy i uszy czuj duch, tętno serca bije, jak młotem, sztuciec w pogotowiu i czekasz. Szmer zbliża się coraz wyraźniejszy, teraz już hałas, bo dziki cwałem pędzą i wypadają na myśliwego. Dwa strzały do odyńca na czele nie zmieniają kierunku czarnych, które już chowają się za następnem wzgórzu, a jedna tylko locha odcina się od rudla, wypada na sąsiada, huk, i locha zwalając się,

pisze krwawy testament. Szmer ucichł, słychać już nagonkę, wkrótce miot skończony. Odyniec farbuje, ale słabo, widać że kula drasnęła po brzuchu, niegodziwa, wolała wryć się w buk, niż w dzika. Za to locha, duża sztuka ratuje sytuacyę. Bierzemy miot następny, tymczasem widnokrąg zaciemnia się grubemi, czarnemi chmurami, które wiszą nad nami, a powietrze się oziębiło. Miot drugi trwał bardzo długo, dzięki temu, że teren trudny, a z niego wyszedł kolosalny odyniec, lecz wykręcił się sianem, wybierając drogę samym rożkiem miotu, gdzie nikt nie stał, pokazawszy się, jak cień jednemu z myśliwych, tak, że nawet na strzał czasu nie było. Trop był bardzo duży a sztuka ogromna. Miot trzeci i ostatni braliśmy już pod wieczór, a choć w nim strzałów nie było, to jednak mieliśmy widok bardzo ładny. Oprócz rogacza, który ogromne, choć omszone swe parostki prezentował całej prawie linii strzelców, mieliśmy długo przed sobą trójkę jeleni, łanię z ósmakiem, za którymi podążało na 30 kroków z tyłu cielę. Kręciły się one przed nami, to w prawo, to w lewo, przystawając co chwila i nadsłuchując. A gdy nagonka już się zbliżyła tak, że ją zobaczyli strzelcy, jelenie ruszyły z kopyta w ogromnych lansadach. Obraz to przepiękny! Gdyśmy siadali na wozy, śnieg zaczął padać gęstymi płatami i padał całą noc, dzień następny i noc drugą, aż do rana z małemi przerwami. Nadzieje nasze poszły w górę wraz z śniegiem, który zabielił znów wszystko i cała knieja wyglądała, jak z cukru, okiść zaś, wcale nie pożądana, zwieszała się z gałęzi smereków w kształtach bardzo malowniczych. Dziwna, niespodziewana ta metamorfoza była przyczyną, że nasi tropiciele ruszyli znów za niedźwiedziami na wszystkie strony, my zaś braliśmy mioty na dziki. Dwa te mioty, które były bezbarwne, czuliśmy w szpiku naszych kości, bo miękki mokry śnieg, przemoczył od razu obuwie, a z góry walił tak rzęsiście, że co chwila skostniałemi rękami odgarniać trzeba było śnieg z szyny na lufie, by w danym razie można strzelić. Gdyśmy około pierwszej po południu delektowali się śniadaniem i ogniskiem rozpalonem na poczekaniu, siedząc na kłodach zwalonych jodeł pod rozłożystymi konarami olbrzymich smereków, nadeszli tropiciele. Dwie sylwetki skurczonych huculów, którzy ukazali się w głębi boru z siekierkami pod pachą, brnąc w śniegu po kolana, były jedyną i ostatnią nadzieją naszą, bo inni powrócili z niczem. Podbiegliśmy ku nim i dowiedzieli się, że niedźwiedzie były, lecz poszły za granicę, to znów, że tropy wiodą w drugą stronę, a więc w naszą knieję, słowem raport nie bardzo jasny, a że do stracenia wiele nie było, postanowiliśmy miot ten wziąć, może niedźwiedzie będą. Ruszyliśmy gęsiego ku miotowi, z wyobraźnią podnieconą, huculi torowali nam drogę, to wspinaliśmy się do góry, to w dół się spuszczali, przeprawiając się przez potoki, po kamieniach rzuconych na prędce z brzegów, aż wreszcie zmęczeni i zziająni stanęliśmy na stanowiskach na stoku góry w linii takiej, iż jeden myśliwy stał nad drugim. Śnieg z góry zelżał, w drągowinie zaś widać było daleko przez siebie. Zgrzany i zmęczony wypoczywałem na lasce, dobrą już chwilę siedząc i marząc, naturalnie bardzo śmiało, wtem drgnąłem i dech zamarł w piersi, bo w dali zamajaczyły się na śniegu dwie postacie, jedna mała, druga duża. Dwie te postacie spuściły się do paryi, z której musiały w kierunku do nas wyjść. Co, nie wiem? Lecz pewno niedźwiedzie; mały i duży, to niedźwiedzica i piastun. Serce tłucze się w piersiach, stoję, prawie nie oddycham i opatrzywszy raz jeszcze sztuciec, czekam. Lada chwila wyjść muszą, może przecie na mnie, bo przed sobą je widziałem i pewno niedźwiedzie. Przedemną ogromna zwalona jodła, może za nią już stoją. Wtem, jakby szmer i z poza kłody wychyla się ogromny łeb... dzika. Byłem tak oburzony zawodem, że prawie chciałem krzyknąć, nawymyślać tej samurze, która stojąc z warchlakiem jednym za kłodą wietrzyła i układała plan dalszej drogi. Reszta warchlaków, jak później wyszło na jaw, przebiła się przez nagonkę.

Olbrzymia ta locha wysunęła się wreszcie z za kłody i gdy mnie kłusem minęła, strzeliłem, po strzale poszła, jak strzała. Już słychać było głosy nagonki, nie bacząc więc na dwa ogromne rogale, które szły na stanowisko mego sąsiada, ruszyłem na trop, a widząc farbę z miejsca bardzo obfitą, ucieszyłem się przecież, że jeżeli nie niedźwiedzica, będzie choć locha. Tymczasem, co się z nią zrobiło, nie wiem, bo szukaliśmy, aż do zmroku, farba ciągle była obfita i jednakowa, a locha szła i szła i poszła światami, a śnieg na nowo zaczął sypać. Po tym strzale noc miałem niedobrą, lecz gorsza miała być następna, o czem nawet nie marzyłem.

Przyjechawszy z rana na saniach do kniei białej, jak okiem sięgnął, zobaczyliśmy nagonkę, obraz na tle tych gór i lasów białych, zaiste bardzo ładny. Huculi rośli i przystojni w swych czapach futrzanych o czerwonem lub niebieskiem denku, w takichże szarawarach i białych guńkach lub futrach baranich, przedstawiali obraz nadzwyczaj malowniczy. Dzień jasny, cichy, prześliczny, śnieg w nocy przestał padać i było go za kolana, a okiść ogromna.

Miot pierwszy trwał bardzo długo, skończył się jednak bez wrażeń i emocyi, dziki były, ale przebiły się przez nagonkę. Bierzemy miot następny, tym razem staliśmy na wąskiej drożynie, a przy rozstawianiu zauważyliśmy, że stadko dzików, świeżo przeszło do miotu za naszemi plecami. Siedzę przed ścianką podrostów świerkowych, obwieszonych liśćmi śniegu. Cicho, jak makiem zasiał. Tak minęła godzina, gdy nagle ukazuje się z gąszczów, na jakie 15 kroków, głowa rysia i oko w oko patrzymy na siebie. Przyszedł on cichutko, jak duch, po miękkim śniegu i wychylił głowę literalnie nie więcej, jak głowę z gąszczów ścianki, patrząc na mnie przez chwilę, podczas której rozmyślałem, co robić. Wiedziałem, że gdy drgnę, pójdzie, a o strzale ani mowy, czekam więc, może się przecież wysunie. Lecz ryś, to nie sarna albo zając, które byłyby mnie z pewnością ignorowały, w okamgnieniu zwinął się, jak cień i znikł. Strzeliłem więcej w to miejsce, niż do rysia kulą, był to strzał rzucony, ryś krzyknął po strzale dwa razy przeraźliwie i cicho. Na strzale prócz tropu nic nie było, trochę dalej była farba po kropli tu i owdzie, musiałem go trafić obcierką w tył, nieszkodliwie, w ścierwo. Ryś ten urodził się pod szczęśliwą gwiazdą, bo był przed trzema myśliwymi, z których jeden widział go przeskakującego przez lukę między drzewami i strzelić nie zdążył, drugi byłem ja, a trzeci mój sąsiad na prawo, koło którego ryś przeszedł przez drożynę na kilka zaledwie kroków, nie widziany i nie słyszany. Nie spostrzegł on go, gdyż po moim strzale uporczywie wy-

patrywał w lewo, ryś zaś przeszedł z prawej strony, znacząc ślad farbą tu i owdzie. Wzięliśmy miot ostatni, do którego wszedł zwierz postrzelony a i dziki w nim być powinny. Emocye straszne a nadzieje wspaniałe u punktu kulminacyjnego. Miot jednak zawiódł. Oto dziki przebiły się przez nagonkę, a ryś mój farbujący, właściwie nie mój, bo go nie dostałem, i drugi zdrów, poszły bokami.

Polowanie się skończyło, dlaczego się skończyło, nie wiem? Pojechaliśmy na stacyę kolejową, dlaczego, też nie wiem? Wysiadłszy z pociągu w Stanisławowie, gdzie czekaliśmy na pospieszny, zapytywaliśmy się sami siebie, dlaczego właściwie jedziemy do domu, kiedy teraz śnieg leży, a niedźwiedzie z pewnością wrócą. Gdyśmy byli w kniei, zadymka śniegowa sprawiła, że zwierzyna obległa a teraz dopiero ruszać się zacznie i tropić można. I jaka zwierzyna, niedźwiedzie, rysie, dziki! Mimo tego wszystkiego pojechaliśmy, dlaczego, do dziś dnia nie wiem.



Korespondencye.

Strzyżowa, d. 18. sierpnia 1902.

W miesiącu sierpniu w rewirze Strzyżowa, zabito białego lisa. *A. Nizioł.*

Bondury-Strzyżów, 21. sierpnia 1902.

W 17-tu dniach polowania, we dwóch, z bardzo dobrymi psami, padło 11 dubeltów, piszę wyraźnie jedenaście, a kilka dni było więcej myśliwych. Hr. L. Starzeński dwa dni, 3 dubelty i to 12 i 14 sierpnia. Wyciąg z notatek z roku 1882 i 1883. W te dni sam polując, ubiłem 40 dubeltów i 35. Chciałbym wiedzieć, co za przyczyna, że ich coraz mniej, czy to osuszenie błot pińskich i innych wpływało, że ich co roku mniej; w tym roku w ogólności bardzo złe ciągi ptactwa błotnego i wodnego. Kszyków także bardzo mało w tym roku, prawie tyleż co i dubeltów. L. Starzeński polował tu parę dni, odemnie pojechał do Pieniak — przechodził tam dużo błot i tylko w jednym miejscu trafił na trzy dubelty i jednego kszyka; nadzwyczajnie chodzi, jak za młodych lat i co strzeli — to trup! Z psem do kuropatw nigdy nie strzela, do kuropatw strzela tylko z nagonką — na tiro i to bardzo lubi. W przeszłym roku miałem skręconą nogę i nie mogłem chodzić, dają znać, że stado kuropatw jest w ogrodzie, proszę, żeby poszedł zabić na pieczyste — za nic — a za jednym kszykiem cały dzień będzie chodzić. Siły, wytrwałości niewidzianej, teraz po całodziennem polowaniu cały wieczór tańcowaliśmy walca — ja naturalnie dla brawury, on z przyjemnością.

Kuropatw w tym roku, jest bardzo dużo, i wszędzie, nawet w miejscach, gdzie ich nigdy nie było — ale z bekasami zdaje się, że trzeba się będzie pożegnać, i ród ich u nas zaginie! A żal będzie tego ślicznego polowania.

Marceli Tyszkiewicz,
delegat brodzki.

Rychlice, w sierpniu 1902.

Z niekłamaną radością stwierdzić wypada, że coraz częściej dają się słyszeć nawoływania, zachęcające naszych myśliwych, do pozbycia się ich wrodzonego, dziwnego, wstrętu do pióra, że wspomnę tylko o dwóch ostatnich numerach „*Łowca*“, w których pp. Dr. Władysław Sołowij i Jan Głuski wstrzemięźliwość tę apatyą jakąś tłómaczą. Ja idę dalej i w tej apatyi dopatruję także, braku poczucia, spełnienia obowiązku. Bo jeżeli namiętność myśliwska sprawia myśliwemu tyle i to tak różnorodnych emocyi, to zdaje mi się, że jest to obowiązkiem tego myśliwego, obowiązkiem kurtuazyi względem całej rzeszy kolegów, podzielić się z nimi odniesionemi wrażeniami, obowiązkiem też względem łowiectwa naszego, jeżeli spostrzeżeniami zapełnimy szpalty organu naszego, wzbogacając dział literatury, na polu której, jedno z ostatnich miejsc obecnie zajmujemy. Tak też było dawniej, bo ileż razy niezapomnianej pamięci hr. Kazimierz Wodzicki mawiał, że uważa za swój myśliwski obowiązek, kilka razy w roku obszerniejszą pracą lub dorywczą korespondencyą w „*Łowcu*“ głos zabrać; nic też dziwnego, że wówczas, gdyśmy mieli sporą liczbę myśliwych, tak jak on myślących i konsekwentnie działających, „*Łowiec*“ mógł służyć za wzór dla innych, tego rodzaju, pism.

Nie jeden z kolegów myśliwych, który po przebytem, ciekawszem, zdarzeniu myśliwskiem, nosił się z myślą, opisania tego w „*Łowcu*“, lub chciał w nim poruszyć sprawę jakąś, ogólniejszej wartości łowieckiej, w ostatniej chwili odłożył pióro, mówiąc, „pocóż mam się z tem w „*Łowcu*“ odzywać, to nie tak znowu ciekawy epizod“, lub „kto inny płynniej i dosadniej sprawę tę podniesie“ i zdaje mu się, że to przekonanie jest wynikiem jego skromności. Nie, kochany kolego, ja tego skromnością nie nazwę; w pierwszym rzędzie, jest to twoje wrodzone lenistwo, które z radością chwyta za jakikolwiek pozór, byle w swych oczach znaleść jakie takie wytłómaczenie, to nie skromność, lecz przeciwnie zarozumiałość, gdyż jesteś zdania, że na cokolwiek się zdobędziesz, że cokolwiek wyjdzie z pod twego pióra, to powinno nosić cechy niezwykłego talentu, powinno olśnić czytających. A tymczasem bardzo a bardzo w takiem ocenianiu się mylisz: „*Łowiec*“ to pismo fachowe, nie beletrystyczne. W artykule, bynajmniej nie odznaczającym się wykwintną formą, znajdzie się często myśl, która może być bardzo pożądaną, lub spostrzeżenie, które się stać może bardzo pożytecznem, czy to dla monografii zwierza, czy też dla spraw ogólno-łowieckich.

Gdyby szerokie warstwy naszych myśliwych, zajęły się „*Łowcem*“ tak, jak na to on zasługuje, to z pewnością byłyby w nim artykuły, różniące się bardzo wartością treści i formy, ale jak na polowaniu cieszymy się zwierzyną, przez kolegę ubitą, gdyż włączamy ją do ogólnego rozkładu dnia i w tym przybytku, widzimy też cząstkę pracy, którą w całości tego wyniku przyczyniliśmy się, tak samo, pobłażliwie oceniając chęci dobre,

cieszylibyśmy się i tym przybytkiem wspólnym, pomni zasady, że krytyka jest zawsze łatwą, lecz że w niej najczęściej mieści się pierwiastek negatywny. Do krytyki zaś tem pochopniejsi jesteśmy, o ile pod wpływem przeciwności przypadkowych, skłonni jesteśmy na wszystko i na wszystkich pesymistycznie się zapatrywać.

Mało który kraj posiada warunki łowne naszym podobne, tę niesłychaną rozmaitość zwierza, że wspomnę o Karpatach i ilości grubego zwierza, w nich się chroniącego. Wszak król naszych borów, karpacki jeleń, to najpotężniejszy okaz tej najszlachetniejszej zwierzyny a obok niego niedźwiedź, ryś, żbik, wilk i dzik, z ptaków orzeł, głuszec, cietrzew i jarząbek. A jeżeli w niemieckich pismach łowieckich strzał do każdego prawie rogacza, i wszystkie okoliczności mu towarzyszące, opisane są z drobiazgową ścisłością, to czyż nasz jeleń nie zasługuje, abyśmy mu poświęcali więcej uwagi, tembardziej, że wszystko, co się bliżej tego szlachetnego zwierza tyczy, jest dla nas nowością.

Zaledwie lat 30 minęło, gdy śp. hr. Artur Potocki zadzierżawił ogromny szmat Karpat, złożony z rewirów: Perehińsko, Jasień i Suchodół a wówczas w tej puszczy leśnej, ponad 100.000 morgów, liczono zaledwie około sto jeleni, już wraz z łaniami i młodzieżą. Zwierzostan ten chylił się do upadku, jeleń pojedynczo tylko w innych częściach Karpat się okazywał, tępiony przez kłusowników, przez wilki i rysie. Dzięki łowieckiej duszy hr. Artura, sprężystości, wytrwałości i ofiarności jego, a później jego brata, stały się te rewiry pepinierą jeleni i stanowczo twierdzę, że im tylko mamy do zawdzięczenia, że dziś wielka część myśliwych w kraju, wie co to za rozkosz, polowanie na jelenie na rykowisku, że dziś dla nas prześliczna, nasza polska jesień, do swej krainy wplotła jeden promień więcej, promień nadziei wzięcia udziału w tej nawytworniejszej myśliwskiej rozkoszy.

I zapytać można, czyż każdy z myśliwych. polujących na rykowisku, nie powinien poczytać sobie za obowiązek, nadesłać każdego roku notatkę do *„Łowca“* o wyniku swych polowań, podając wymiar rogów zabitych jeleni, i ciekawsze okoliczności, które temu polowaniu towarzyszyły? Co do jeleni, tak my jak i straże i służba łowiecka, jesteśmy nowicyuszami; od nomenklatury zaczynając, aż do monografii zwierza, mnóstwo w naszej literaturze łowieckiej luk, które zapełnić należy. Inaczejby wówczas wyglądał *„Łowiec“*, od października do grudnia wypełniałyby go epizody polowań na jelenie w Karpatach i na Podgórzu! Sam wiem o 132 jeleniach, które zginęły na rykowisku w roku zeszłym, na polowaniach, przez znajomych mych dzierżawionych lub przez znajomych mych, którzy w nich udział brali, zabitych — a jakiż był ślad w *„Łowcu“*? Gdyby nie relacya hr. A. Sumińskiego a później artykuł jego „Wymiary wieńców“ można było, z *„Łowca“* sądząc, myśleć, że jeleni w kraju naszym zupełnie nie ma.

Jeden z mych znajomych w kilku dniach zabija 4 jelenie, w tem dubleta — w łaskawości swej, w klubie przez dni kilka rogi wystawia, dlaczegoż o szerszej rzeszy myśliwych nie pamięta i *„Łowca“* milczeniem zbywa?

W dawnych rocznikach miewaliśmy czasem relacye ze Smorza, przed dwoma laty p. P. R. nadesłał opis przebiegu rykowiska, przy sposobności ubicia niedźwiedzia. W roku zeszłym niedźwiedzia w Smorzu nie było, a pomimo, że padło zdaje mi się 11 jeleni, *„Łowiec“* wcale o tem się nie dowiedział.

A właściciel jednej z najpiękniejszych kniei w Karpatach, gdzie zeszłej jesieni padło ośm potężnych jeleni, między tymi trzy pary bardzo ciekawych wieńców, dlaczegoż swymi tryumfami nie podzielił się z szerszem kolegów kołem?

A takich mnóstwo i to nawet tych, którzy dawniej nadsyłali do *„Łowca“* krótkie relacye o rykowisku a których tak interesujące notatki i treściwe sprawozdania są mi jeszcze w pamięci: pp. J. Martyniec z Nadwórnej, p. Maultz z Mizunia, Hołubowski z Perehińska. Umyślnie o nim wspominam na ostatku, on bowiem czasem uchyla rąbek zasłony, kryjącej właściwie, dzieje łowiectwa w Perehińsku, Jasieniu i Suchodole. A czyż właśnie to łowiectwo, jako najstarsze jelenie łowiectwo w kraju, którego okazy czarowały nas podczas wystawy lwowskiej, a wieńce jelenie wzbudzały podziw wśród myśliwych na powszechnej wystawie paryskiej, czyż to łowiectwo nie było powołane, do udzielenia wskazówek, do utworzenia szkoły w tej gałęzi, nieznanego jeszcze w kraju najszlachetniejszego łowiectwa?

Przecież i rewiry, dzierżawione w Karpatach, przez myśliwych nie krajowych, to po większej części rewiry kameralne, z urzędnikami na czele, albo Polakami albo władającymi doskonale językiem polskim, przytem prawie bez wyjątku doskonałymi, zamiłowanymi myśliwymi, jak bardzo zatem bylibyśmy im wdzięczni, gdyby i oni zechcieli nadsyłać do *„Łowca“* szczegółowe sprawozdania, odbytych na jelenie łowów. Bo jeżeli niektóre, niestety tak nieliczne towarzystwa myśliwych krajowych, dzierżawiących rewiry jelenie, wobec szalonego popytu za tego rodzaju rewirami, wobec często nie do zwalczenia trudności, ponawiających się, przy każdorazowem odnowieniu dzierżawy polowania, formalnie kryją się z rezultatami swych łowów i wolą milczeć, to przecież te powody nie istnieją dla pierwszej części rewirów, które są albo własnością, wykonujących w nich prawo polowania, lub są w rękach rozporządzających, tak potężnymi moralnymi i materyalnymi wpływami, że dla nich trudności, o których wspominałem, nie istnieją.

A ileż innych żywotnych spraw nie powinno schodzić z łam *„Łowca“*; na czele administracyjnych władz powiatowych stoi wielu zawodowych, doskonałych myśliwych, a jednak jak rzadko w organie naszym, spotkać się można ze wzmianką o ich czynnościach, w zakresie ich starań ku podniesieniu łowiectwa w ich powiatach. W ostatnich latach dwa tylko starostwa uczyniły chlubny wyjątek.

Przed laty dwoma sprowadzono do kraju za pośrednictwem wydziału naszego Towarzystwa około 400 zajęczyc, chcąc przez odświeżenie krwi wpłynąć na podniesienie tego zwierzostanu. Sprowadzono, puszczano i co dalej? czy próba ta się udała? czy przyniosła jakie rezultaty? Nikt nie uznał za stosowne nic o tem donieść! A przecież tego rodzaju próby są bardzo dla łowiectwa krajowego ważne i zasługują, aby je traktowano ze szerszego obywatelskiego a nie tak egoistycznego stanowiska.

Nie można przeczyć, że z każdym rokiem podnoszą się zwierzostany w kraju i to nawet w miejscach, gdzie klimat najgorszy. Właściciel jednego z najpiękniej-

szych obecnie polowań na płaskowzgórzu zimnego naszego Podola w kniejach, gdzie padało niedawno w dniu po 10 do 20 zajęcy, w kilku latach zwierzostan tak podniósł, że pada tam w tych samych kniejach, powyżej stu zajęcy dziennie a i kilkanaście rogaczy zdobi rozkład dzienny. Każdy z nas, myśliwych, wie z jakiemi trudnościami, z jakim nakładem pracy, energii i znajomości rzeczy, połączonem jest takie podniesienie drobnego zwierzostanu. Dlaczegoż nie uznał on nigdy za stosowne podzielić się z szerszem kołem myśliwych-hodowców swem doświadczeniem, swemi próbami i spostrzeżeniami na tem polu? A władanie piórem nie przysparza mu zbytnich trudności, pamiętam dawniej jego monografie w *„Łowcu“*, z których tryskała znajomość i podpatrzenie przyrody, świadczące, że odziedziczył po ojcu czar jego pióra i bystry zmysł spostrzegawczy. Dziś jeszcze pamiętam króciutki epizod, dziwną jakąś poezyą owiany a opisujący zapasy dwóch rogaczy wczesnym rankiem, na polu.

Z dalekich stron przybywają do Galicyi obcy myśliwi i przepłacają się, aby utrzymać się z jakiemś polowaniem na podchodnego, lub na podjazd na rogacze. Zdegenerowany, skarłowaciały rogacz w Czechach lub Austryi, nie ma już dla nich uroku. My zaś mamy wielu myśliwych polujących na podchodnego, lub na podjezdne, a z *„Łowca“* o nich nic nie wiemy. Do jakich zaś rozmiarów w niektórych okolicach stan sarn się podniósł, niech służy przykład, że jeden z myśliwych naszych, bieżącej wiosny, w dwóch i pół dniach, to jest na trzech podjazdach wieczornych i na dwóch rannych zabił 46 rogaczy, z tych zaś 25 w dniu jednym a jak mi mówił, nie strzelał do wszystkich spotkanych rogaczy, lecz wybierał same o ładniejszych rogach. A czyż opis takiego królewskiego iście polowania nie należał się *„Łowcowi?“* A więc powiedzmy sobie, że obowiązkiem naszym myśliwskim jest, pamiętać o *„Łowcu“*, dzielić się z nim wrażeniami, przeżytych w borach chwil i emocyi, umieszczać w nim wszystko, co z kultury łowiectwa, co z zagadnieniami łowiectwa i myśliwstwa, jako nauką, ma wspólnego. Powiedzmy sobie, że jeżeli nam nic ważnego na przeszkodzie nie stoi, to obowiązkiem jest naszym, jawić się na Walnem zgromadzeniu Towarzystwa, dla zadokumentowania naszej koleżańskiej solidarności, dla wlania w Wydział Towarzystwa przekonania, że przecież się jego pracami interesujemy, że uważamy członków jego za rzeczników potrzeb naszych myśliwskiich naszych żądań i naszych nadziei. A łatwo nam to przyjdzie, wychodząc z założenia, że jeżeli niektórzy z tych członków Wydziału odbywając często i dalszą podróż, by brać udział w posiedzeniach Wydziału, że poświęcają nam czas swój, którego często domaga się ich praca zawodowa, to my choć raz w roku powinniśmy się zejść z nimi i wlać w nich otuchę i przekonanie, że to co robią, nie jest dla nas obojętnem.

Kończąc, przepraszam najmocniej, jeżeli wymienianiem nazwisk i natrętnem może wpraszaniem się o pamięć u *„Łowca“*, stałem się może niedyskretnym, lub kogo może mimowolnie dotknąłem, czynię to z chęci najlepszych i sam od siebie zaczynam, mówiąc *„mea culpa“*, bo i ja wcale wolnym od tych zarzutów nie jestem. Oby i dla drugich, ta dziwna, powszechna apatya, którą się odznaczamy wobec spraw, mających bliźnią styczność ze wszystkiem, co w zakres wchodzi naszej myśliwskiej namiętności, była bodźcem do nowych usiłowań na tem polu a nie wątpię, że łowiectwo nasze wejdzie na zupełne inne tory, mając w organie naszym rzecznika wszystkich swych interesów i *„Łowiec“* stanie się tem, czem być powinien, to jest wiernym obrazem dziejów i potrzeb łowiectwa naszego krajowego.

J. Al. Bielski



Kronika.

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału z d. 29 sierpnia podamy w następnym numerze.

Dropie, których wprowadzenie w niektórych hrabstwach Anglii, gdzie zostały wytępione, stało się rzeczą dokonaną, są obecnie w hrabstwie Sussex zwierzyną miejscową, niosą się i licznie rozpładzają. Rzecz oczywista, że takie wprowadzenie kosztowało właścicieli rewirów tamtejszych znaczne pieniądze, pokazano jednak znowu dowodnie, że w dzisiejszych czasach w kierunku hodowli zwierzyny niemożliwości prawie nie istnieją.

Wykaz ubitej zwierzyny w księstwie Pszczyńskiem. W r. 1901 ubito w rewirach Księstwa Pszczyńskiego: 3 żubry, 302 jeleni, 187 danieli, 538 sarn, 55 dzików, 5176 zajęcy, 253 królików, 5764 bażantów, 143 jarząbków, 1628 kaczek dzikich, 92 słonki, 30 kszyków, 4240 kuropatw, 12 gołębi dzikich, 9 przepiórek i 922 rozmaitego błotnego ptactwa — razem 22432 zwierzyny pożytecznej. Szkodliwej zwierzyny ubito lub złapano 1036 sztuk, z czego 142 lisów, 105 kun, 443 tchórzów i 588 łasic.

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po 1½ ct. od wyrazu).

SPRZEDAJĘ WYŻŁY: Sukę nakrapianą (popielata z brązowem) po Sekt-Waldwärter 3222 z Adony 3464 w drugiem polu, doskonale ułożoną za 200 k. Szczenięta białe w kasztanowate łaty, psa i sukę, ur. 4 czerwca po doskonałych psach, 60 k. sztuka. Hr. Sumiński — Uszew.

PARA CHARTÓW KRYMSKICH rasowych 9-cio miesięcznych (pies czarny, suka biała) jest do sprzedania. Bliższe wiadomości: „Książę Stanisław Jabłonowski (junior), Bursztyn“.

Zarząd dóbr Raj, poczta Brzeżany, posiada cztery młode łabędzie do sprzedania.

Strzelba lankastrowa, kal. 16, bardzo dobrze zachowana, roboty Peterlonga, do sprzedania za 60 zł. (kosztowała 120 zł.). Oglądać można w Administracyi w godzinach urzędowych.

OSOBA dystyngowana wykształcona, pracowita, wdowa po lekarzu, szuka posady damy do towarzystwa, reprezentacyi domu, opieki dla starszych dzieci itp. — wymagania skromne. S. B. poste restante Bóbrka.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.